



**KRAJ  
ŁAGODNOŚCI**



**B**ieszczady jak chyba żaden inny kawałek tego kraju od dawna wiodą podwójne życie. To prawdziwe, zwyczajne, prozaiczne i to poetyckie, stanowiące opowieść z pogranicza baśni, legendę niepoddającą się upływowi czasu.

Źródła bieszczadzkiej baśni odnaleźć nietrudno, jednak wiele tu zawiłości, których nie sposób ułożyć w linearną fabułę. Na myśl przychodzi *Siekierzada*, jednak wbrew obiegowym opiniom ani powieść, ani jej autor nie mają nic wspólnego z Bieszczadami. Edward Stachura był tutaj tylko raz na początku lat siedemdziesiątych i ta podróż nie znalazła w jego twórczości żadnego odzwierciedlenia. Pisząc *Siekierzadę albo Zimę leśnych ludzi*, opierał się na swoich doświadczeniach



z dolnośląskich lasów, gdzie bywał wielokrotnie, a nawet przepracował zimę przy wyrębie. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych po premierze filmu *Siekierzada* Witolda Leszczyńskiego, który wywołał wśród młodych ludzi prawdziwą stachuromanię, pisarz zaczął być nagle kojarzony z Bieszczadami, choć reżyser nie przyłożył do tego ręki, gdyż film był kręcony na Białostocczyźnie. Nawiasem mówiąc, podobnie było z *Bazą ludzi umarłych*, obrazem Czesława Petelskiego z 1958 roku na podstawie powieści *Następny do raju* Marka Hłaski. Pracę kierowców pisarz poznawał nie w Bieszczadach, ale w Karkonoszach, i tam też kręcono zdjęcia do filmu. I tym razem rzeczywistość przegrała z legendą, bo przecież w powszechnej świadomości *Baza ludzi umarłych* to film o Bieszczadach (zupełnie tak, jakby nigdzie indziej w całym kraju ciężarówki nie wozily drewna po górskich drogach).

Tak naprawdę, jeśli chcemy zobaczyć bieszczadzkie plenery w filmie o Bieszczadach, wybór będzie bardzo ubogi, a obrazy w większości leciwe. *Rancho Texas* Wadima Berestowskiego z 1958



roku, z bardzo młodym Boguszem Bilewskim, było kręcone w wyludnionym Tworylnem (od tamtego czasu nic się w Tworylnem nie zmieniło, więc choćby z tego powodu warto je odwiedzić). Był też *Ogniomistrz Kaleń* w reżyserii Czesława i Ewy Petelskich (1961) na podstawie *Lun w Bieszczadach* Jana Gerharda, a także barwne, opowiadające o tym samym okresie *Wilcze echa* w reżyserii Aleksandra Ścibora-Rylskiego (1968). Budowę zapory w Solinie możemy zobaczyć w filmie *Chudy i inni* Henryka Kluby (1969) z Marianem Kocińskim w roli głównej, a listę zamykają *Hasło*, wspomniane przy okazji historii Moczarnego (reż. Henryk Bielski), i zabawna *Wolna sobota* z Wojciechem Siemionem (reż. Leszek Staroń, 1978). I to już właściwie wszystko, oczywiście nie licząc serialu. Należy jeszcze wspomnieć o półgodzinnym dokumencie *Wypalony*, który opowiada o dobrze znanej w Bieszczadach postaci Stasia Magisterka, emerytowanego archeologa, pracującego od lat na wypale węgla. I może warto rzucić okiem na *Zerwany most* Jerzego Passendorfera (1962), bo choć kręcony na Dolnym Śląsku, pokazuje zakłamaną



historię wojny w Bieszczadach w sposób całkiem sugestywny. Ale za daleko odbiegam od tematu.

Tak naprawdę bieszczadzka baśń ulepiono z poezji. Nie mówię tu o piosenkach, takich jak *Po prostu wyjedź w Bieszczady* Wojciecha Młynarskiego (*Wojciech Młynarski śpiewa swoje piosenki*, 1966) ani *Bieszczady* Jacka Kaczmarskiego (*Dzieci Hioba*, 1989, ani nawet *Tereska Zajęczyca* Garczarka, bo wszystko to nie ma wiele wspólnego z głównym wątkiem. Najważniejsze zaczęło się od wierszy Jerzego Harasymowicza, poezji prześląkniętej klimatem Beskidu Niskiego, który dzieli z Bieszczadami dramatyczną powojenną historię. *Pieśń łagodnych* Wojtka Bellona, która użyczyła później nazwy całemu nurtowi poetyckiej piosenki, nie wzięła się znikąd. Tomik wierszy pod tytułem *Powrót do kraju łagodności* ukazał się jeszcze w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Jego autorem był właśnie Jerzy Harasymowicz. I chociaż jego „krajem łagodności” nie były wówczas Bieszczady, określenie – już jako stworzona przez Bellona „kraina łagodności” – przyłgnęło również do nich. Gdyby nie Harasymowicz, a potem



czerpiący z jego wierszy natchnienie Bellon, nie byłoby nie tylko *Pieśni łagodnych* i *Harasymowiczowskich pejzaży*, lecz także całego zjawiska nazywanego krainą łagodności, które towarzyszy nam już od trzech dekad.

Piosenki Wolnej Grupy Bukowina kształtowały bieszczadzka baśń przez całe lata osiemdziesiąte. Nie ujmując niczego, warto napomknąć, że były to czasy ciężkiej komuny i trzeba było mieć trochę szczęścia, by znaleźć się pośród tych, którzy znali południowo-wschodnie pogranicze Polski. Beskid Niski i Bieszczady wydawały się wówczas miejscami bardzo odległymi i biorąc pod uwagę czas i wysiłek, który trzeba było poświęcić, by do nich dotrzeć, były takimi naprawdę. (W drugiej połowie lat osiemdziesiątych przejazd pociągiem i pekaesem w okolice Baligrodu zajął mi bite osiemnaście godzin. Do pociągu wsiadłem tuż przed północą. W schronisku, urządzonym w szkole podstawowej w Mchawie, stanąłem następnego dnia o osiemnastej). Zresztą i poetycka piosenka miała wówczas jeszcze inne oblicze – to, które mówiło prawdę o ustroju i wydawało się o wiele



ważniejsze od piosenek przypominających po prostu, że bywają jeszcze inne kolory oprócz wszechogarniającej peerelowskiej szarości.

W drugiej połowie dekady do nurtu dołączyło Stare Dobre Małżeństwo – najpierw z wierszami Stachury (który nie wiecieć czemu, nagle zaczął się wszystkim kojarzyć z Bieszczadami), potem z tekstami Adama Ziemanina, często błędzącego słowem po regionach tak bliskich Harasymowiczowi i Bellonowi (którego znał, podobnie jak i Krzysztof Myszkowski, założyciel Starego Dobrego Małżeństwa). W końcu pojawiły się *Bieszczadzkie anioły* (tekst Ziemanina) – i tak to trwa do dzisiaj.

Szkicuję grubą kreską, bo na piosenkach Wolnej Grupy Bukowina i Starego Dobrego Małżeństwa bieszczadzkie ścieżki krainy łagodności wcale się nie kończą. W dodatku ledwie tknąłem tak ważną dla Bieszczadów postać Jerzego Harasymowicza i zupełnie przemilczałem Beskid Niski, czyli kraj łagodności, o którym pisał Harasymowicz, śpiewał Bellon i który nieustannie przewijał się w tekstach Ziemanina.



Wojtek Bellon zamilkł w połowie lat osiemdziesiątych. Nieco więcej niż rok później odbyła się premiera *Siekierzady* Witolda Leszczyńskiego, która wraz z wierszami Stachury, śpiewanymi przez Stare Dobre Małżeństwo, otworzyła nowy rozdział latopisu legendy Bieszczadów. Piętnaście lat później odszedł Jerzy Harasymowicz. Jego prochy rozsypano ze śmigłowca nad połoninami, a symboliczny grób znajduje się na Przełęczy Wyżnej.

Jednak poetycka baśń, którą Bieszczady dziela po części z całymi Beskidami, żyje nadal. Wciąż można słuchać Wolnej Grupy Bukowina, Starego Dobrego Małżeństwa, zespołu U Studni (stworzonego przez muzyków związanych wcześniej przez długie lata z Krzysztofem Myszkowskim), a to tylko wierzchołek góry, bo kraina łagodności przyciągała poetów i muzyków z każdego pokolenia i zliczyć ich nie sposób. Bo chociaż na ostatniej stronicy wielkiej bieszczadzkiej baśni dawno już wysechł atrament, na marginesach wciąż pojawiają się nowe dopiski.

I całe szczęście.